TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 14. *Chicago, Ills., 30 Września, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Byłeś z nami na łowach, więc wiesz co się działo, ale tego wiedzieć nie mogłeś com ja dostrzegł. Traf szczęśliwy dał mi stanowisko blisko królewicza, przy samych pojazdach królowej. Wyznam, iż więcej patrzałem na Maryą jak na miejsce skąd zwierz pędzony mógł wypaść; ukryty za drzewem poglądałem ciągle na jej wdzięki coraz bardziej mnie zajmujące; ale jej oko nie spotkało mego wejrzenia, bo ciągle niemal na stanowisko królewicza zwrócone było. Wtem widzę wyraz przestrachu na jej twarzy, zrywa się w pojeździe, wydaje krzyk przeraźliwy, i z rozpaczą poniekąd, ku niemu ręce wyciąga. Patrzę w tę stronę gdzie i ona, spostrzegam i ubijam groźnego odyńca, spieszę do księcia i ona niedługo przybyła, ścisnęła mi z czuciem rękę ale jej oko było na księcia zwrócone, pociecha jaśniała na jej twarzy, ale pociecha z ocalenia ulu-

bionego przedmiotu, a nie z tego, że mnie się rzadki i szczęśliwy traf zdarzył.

— To niczego więcej nie dowodzi, jak tego com ci już powiedział, że Modrzejowska, zwyczajnie jak młoda osoba, znajduje upodobanie w królewiczu; ale to wszystko minie, skoro tylko dwór opuści; a wtedy zapomni, o tym księciu, który na nią niekiedy miłem okiem patrzał.

— Ale czy też książę zapomni o nas? to drugie pytanie. Słuchaj co ci dalej powiem. Kiedy, jak wiadomo, Marya wyskoczyła z owem jabłkiem, stawiając się na wezwanie królewskie (co między nami mówiąc, nie bardzo mi się ze strony króla podobało, zwłaszcza gdy przyjął oświadczenie się młodej dziewczyny, które za zuchwalstwo poczytać należało) gdy mówię, wystąpiła na plac Marya, spojrzałem na naszego księcia, a ślepy chybaby był nie postrzegł, jak mocno był zatrwożony niebezpieczeństwem, na które się Marya narażała. On, taki pokorny i uległy dla ojca, śmiał go pochwycić za ramie; a wiedząc dobrze, że król po kilku puharach wina miał dawać dowody zręczności, poważył się oprzeć jego zamiarom i narazić się nawet na jego niechęć, aby tylko Modrzejowską z niebezpieczeństwa wybawić. Wiesz ty, że on drżał cały, gdy król brał łuk do ręki; jego wejrzenie malowało taką niespokojność, jaką tylko najżywsza miłość wzbudzić może.

— Oh! oh! już też zadaleko posuwasz swoje domysły: miłością ku niej książę nie pała. Nie tak on jest skory do tego; to nie ojciec, nie..... Powtarzam ci, że znajduje w niej upodobanie, ale więcej nic.

— Ale to upodobanie popsuło w głowie niedoświadczonej i młodej dziewczynie, zajęło zupełnie jej serce, wzbudziło jakieś nadzieje, a z czasem może się w najzaciętszą miłość zamienić.

— Na to sposób łatwy; niech zostanie twoją a o wszystkiem zapomni.

— Nie, bracie! to nie jest sposób zaradzenia złemu, które się już stało. Jak ja to dobrze przewidział, że coś podobnego nastąpi, skorom się tylko dowiedział, że Marya do dworu wzięta; dla tego nie rad byłem temu.

— Cóż więc czynić zamyślasz?

— Odwlec moje wesele i czekać, aż się to wszystko na którą bądź stronę ostatecznie rozwiąże, i właśniem ci się miał poradzić, jakto począć i jaki znaleźć powód do nowej zwłoki.

— Zmiłuj się nie czyń tego, bo dasz powód do gadania, wystawisz biedną Maryą na plotki, złe o niej wzbudzisz mienie, a ona prawdziwie nie zasługuje na niechęć twoję. Cóż ona temu winna?

— Któż o tem mówi, żebym ja miał niechęć ku niej lub szkaradną chęć pomszczenia się obojętności względem siebie? Inne są moje pobudki: słuchaj i sądź potem. Wiesz, jaka mnie przyjaźń z nieodżałowanym Modrzejowskim łączyła. Ta przyjaźń, a nie miłosne jakie zapały, skłoniła mnie do starania się o rękę jego córki. Przed zgonem swoim rzekł on do mnie, ściskając mi dłonie mdlejącą już ręką:

— Spokojnie umieram, bo tobie, kochany Damianie, jedyne dziecko moje zostawiam w opiekę; bądź jej ojcem wtedy nawet, gdybyś jej mężem być nie mógł. —

— Wiesz, iż mówią, że konający wieszczym nieraz duchem przemawiają! być może bardzo, że się przeczucie ojca spełni i że ja córki jego mężem nie będę; ale ojcem dla niej nigdy być nie przestanę. Kto wie, jaki los czeka Modrzejowską, i czy ta przepowiednia ojca nie ściąga się do wysokiego przeznaczenia, jakie dla niej nieba gotują. Ja jej sumiennie drogi do szczęścia zagradzać nie mogę; czuwać tylko nad tem winienem, aby jej się żadna krzywda nie stała i abym od niej wszelkie niebezpieczeństwa oddalił. Jej wychowanie, cnoty po przodkach odziedziczone, piękny jej sposób myślenia ręczą mi za tem, że nigdy żadnej nie popełni płochości; dla tego bez obawy zostawić ją mogę na dworze, gdzie się wysokie jej przeznaczenia, jedynie ziścić mogą. Jeżeli Bóg dla niej królewicza przeznaczył, jeżeli z nim razem kiedyś polski tron osiądzie, wierny wówczas jej poddany cieszyć się będę z tego, żem obowiązek przyjaźni wypełnił i cnotliwą narodowi zjednał królowę. Takie jest moje nieodzowne postanowienie; doradź tylko przyjacielu jak je wykonać, aby żadnych względów nie obrazić i aby nadewszystko Maryą od wszelkiego prześladowania ochronić.

— Dziwić się muszę nad tobą i wielbić cię razem, bo niepospolitej mocy duszy dajesz dowody, szlachetne są twoje pobudki, lecz nie wiem czy można mieć jaką nadzieję o ziszczeniu tego, co ty przeczuciem ojca Maryi zowiesz, bo póki królowa całym dworem a zatem i synem rzą-

dzić będzie, póty on o takich tylko związkach myśleć będzie, jakie ona dla niego zgotuje. A tymczasem wystawioną zostanie Marya na liczne prześladowania i nieprzyjemności, nadewszystko na trudzące ją zaloty Francuzów. I cóż się z nią stanie, wtedy kiedy ją te wysokie miną nadzieje? W kimże znajdzie pociechę w strapieniu swojem? Jakże się wróci z tej wysokości, do której zmierzała, do zaciszy domowego pożycia? Jakiż szlachcic zechce ją pojąć za żonę, i któryż ją wtedy uszczęśliwić potrafi?

— Ten sam który jej się wyrzekał, gdy większe dla niej szczęście widział, i który się wróci do niej, gdy jej to szczęście nie dojdzie; który poświęci osobistość swoję dla księcia, ale nie ścierpi tego aby lada gach układny sądził się być godnym tak dostojnej ręki i rozumiał że może się o nią zalecać bezkarnie! Dla tego zaklinam cię na obowiązki przyjaźni, abyś nikomu tego nie wyjawił, o czem dzisiaj z sobą mówiliśmy; a teraz, nie odwodząc mnie dłużej od mego przedsięwzięcia, doradź tylko, jak je najlepiej do skutku doprowadzić.

— Trudna rada... Czas twojego ożenienia przez samę królową oznaczony... jak się tu cofnąć i dla czego? Zdaje się, iż nie należy naglić niczego, zostawić rzeczy in statu quo, jakiemikolwiek pospolitemi przyczynami usprawiedliwiać chwilową zwłokę, i czekać dalszych zdarzeń; może one albo rzecz całą wyjaśnią, albo też samę sposób puszczenia jej w odwłokę nastręczą.

Na tem rzecz stanęła. Jordan ponowiwszy przyrzeczenie zachowania tajemnicy, rozszedł się z przyjacielem swoim.

Widząc wychodzącego gościa, wrócił Kulik do izby, w mniemaniu, że pan usług jego potrzebować może. Zastał go chodzącego po pokoju w wielkiem zamyśleniu i stanął przy drzwiach, czekając dalszych rozkazów pańskich. Długo nic do niego nie przemówił Ruszczyc, lecz nakoniec, znudzony jego obecnością i widząc, że w pewnem nieśmiałem oczekiwaniu to z nogi na nogę przestępował, to chrząchał niekiedy, rzekł do niego:

— Czegóż stoisz? i na co czekasz?

Ruszył się z miejsca Kulik nieco ośmielony, i rzekł:

— Czy Wielmożny Pan nie każe zaprzęgać?

— Zaprzęgać? — zawołał Ruszczyc — a to po co? Dokądże ty myślisz jechać?

— To nie, ja tak myślałem sobie zwyczajnie, że może Pan do Wilanowa pojedzie, bośmy się jeszcze z naszą dzielną furmanką nie popisywali, a tam przecie jest JW. Pani, dla której ten pojazd, te konie sprawione.

— Idź spać, póki nie wytrzeźwiejesz — rzekł Ruszczyc patrząc surowo na niego i dał mu znak oddalenia się.

Nizko ukłonił się Kulik, odwrócił się i mruknął sobie odchodząc:

— Nie wiem co mu się stało? nigdy taki zły nie był.

ROZDZIAŁ XIV.

.......................mądry baczy
Nim powie, czyli tak ma, czy mówić inaczej,
A roztropnym szykując wszystkie sprawy torem,
Często ma myśl zamknioną, choć usta otworem.
Naruszewicz, Sat.

Już miesiąc blizko upływał, a sejm do Warszawy zwołany jeszcze nie był rozpoczął swoich czynności z przyczyny niechęci Stanów Litewskich, które, stosownie do dawnych konstytucyi, domagały się tego, ażeby ten sejm nie w Warszawie lecz w Grodnie się odbył, i tam się też zgromadziły, chcąc przemódz uporem swoim i zmusić króla do przeniesienia obrad do tegoż miasta. Po wielu próżnych krokach do tychże Stanów uczynionych, postanowił król wysłać do nich deputacyą od Stanu rycerskiego Korony, do której wybrano osoby z litewskiemi familiami spokrewnione, ażeby przez przyjacielskie i familijne stosunki zwaśnione umysły do zgody nakłonić.

Ruszczyc, którego familia pierwiastkowo z Litwy pochodziła, bądźto z tego powodu, bądź też dla znanej przychylności ku królowi, powołany został do tego poselstwa i dwoiście się cieszył z tego powołania swojego, raz dla tego że mógł usłużyć królowi, drugi raz że znalazł słuszną przyczynę odwleczenia na czas niejaki przynajmniej wszelkich zabiegów, które ze stosun-

ków między nim a Maryą zachodzących wypływały; zwłaszcza że rozumiał, iż przez to i przy dalszych zatrudnieniach sejmowych znajdzie słuszną wymówkę obojętności swojej w przyspieszaniu zapowiedzianych związków.

Szczęśliwie się powiodło poselstwo do Grodna; sejm rozpoczął działania, a z niemi powstały wrzawy o nieprawne oddanie wielkiej pieczęci koronnej wojewodzie trockiemu, Ogińskiemu, bez udziału sejmu. Ruszczyc przepomniał przy ważnych zatrudnieniach o swoim osobistym kłopocie; lecz ilekroć widział Maryą na publicznych zebraniach i festynach, unikał wszelkiej z nią rozmowy, tak dla tego, ażeby nie zachwiał się w przedsięwzięciu swojem, jako i dla tego, że nie mógł dotąd wynaleźć zmyślnej przyczyny odłożenia na czas dalszy zawarcia związków małżeńskich.

Gdy razu jednego przybył z innymi do Wilanowa na pokoje królewskie, postrzegł go Wota bliższą już wówczas z nim znajomość mający i rzekł do niego po cichu, iż mu ma coś bardzo ważnego do oznajmienia, i że go prosi, ażeby zechciał z nim razem wyjść nieco na krużganek od pokojów królewskich na ogród wychodzący, zwłaszcza że piękny czas kwietniowy do używania świeżego powietrza zachęcał. Skłonił się do żądania Woty nasz bochater, ciekawością zdjęty coby mu miał do oświadczenia. Skoro wyszli na ganek, wziął Ruszczyca pod rękę i rzekł do niego stłumionym głosem:

— Szacunek i przyjaźń, którą mam dla osoby Waszej, zmuszają mnie do tego, ażebym Was przestrzegł o niebezpieczeństwie, jakiem jesteście zagrożeni. Radzę Wam, nie puszczajcie w odwłokę zawarcia związków małżeńskich z narzeczoną Waszą; są bowiem tacy, którzy serce jej podbić, a tem samem Was tego tak drogiego skarbu pozbawić pragną.

Odstąpił parę kroków od niego Ruszczyc i spojrzał nań z wyrazem obawy, że już zna tajemnicę Maryi i zarazem podziwienia, jakim sposobem ją odgadnął.

— Któż taki? — zawołał zdumiony, udając że się niczego nie domyśla.

— O, nie jeden — rzekł Wota — dwór królewski jest niebezpiecznem siedliskiem dla młodej i niewinnej dziewczyny.

Ochłonął nieco Ruszczyc i spokojnie rzekł dalej:

— Jeżeli tylko o ogólnych niebezpieczeństwach wspominacie, to ja ich się bynajmniej nie lękam; wiem jakie było wychowanie Panny Modrzejowskiej, i ręczę, że pomimo wszelkich zabiegów niechętnych mi ludzi wiary mi dotrzyma.

— Hm — rzekł Wota przechylając nieco głowę, przymrużając lewe oko a prawem dwójznacznie poglądając na Ruszczyca — ja na waszem miejscu nagliłbym jednak zawarcie związków małżeńskich.

— A któż wam powiedział — odparł żywo Ruszczyc — że ja nie chcę w tych czasach pojąć Modrzejowskiej za żonę?

— Nie wątpię, że macie jak najżywszą chęć wypełnienia tego postanowienia — rzekł Wota, i wznosząc nieco ramion i brwi do góry a otwierając obie dłonie, dodał z przyciskiem, niedokończając umyślnie mowy — ale....

— I cóż to ale znaczy? — rzekł Ruszczyc, — nie umiem zgadywać; mówcie otwarcie i wszystko co wiecie, bo się niczego nie domyślę.

— Tu obejrzał się Wota raz jeszcze i rzekł tajemnie:

— Wierzajcie, mi, że tylko szacunek, którym dla Was jestem przejęty, i to poważanie, jakie mam dla osób tak znamienitych i uczciwych jak Wy jesteście, mogą mnie skłonić do wyjawienia tego, co, gdyby miało być powtórzonem, niezawodnieby niechęć Najjaśniejszych Królestwa na mnie ściągnęło. Oto — przy tem obejrzał się raz jeszcze i do ucha mówił dalej Ruszczycowi — Mondor, dworzanin Królowej, ma widoki na Pannę Modrzejowską.

Roześmiał się głośno Ruszczyc i rzekł:

— Stare dzieje, wiem o tem oddawna i nie dbam o to wcale.

Wota spojrzał na niego z zadziwieniem, i mówił dalej z równa jak zawsze tajemnicą:

— Ale hrabia de Maligny sprzyja widokom Mondora, bo w tym ma własne rachuby, a łatwo pojąć że eo ipso.... — Przy tem obejrzał się znowu.

— Quidnam eo ipso? — zawołał zniecierpliwiony Ruszczyc.

— Eo ipso — rzekł dalej Wota stłumionym głosem — królowa Pani obstaje przy tem, aby Wasza narzeczona przy dworze została, a to w tym widoku, iżby pod Waszą niebytność zamiary Francuza z czasem do skutku dojść mogły.

— To fałsz — rzekł Ruszczyc — mnie sama królowa swoję łaskawą opiekę i pomoc przyobiecała; a zresztą, chociażby i tak być miało, to trzeba aby i Panna Modrzejowska tego Mondora nadenınie przekładała. Może mi także powiecie że ona go kocha?

— Nie, nie, broń Boże — rzekł z miną ironiczną Wota — ja tego nie utrzymuję bynajmniej, bom żadnej jeszcze w tej mierze nie zasiągnął wiadomości; ale wiemy to bardzo dobrze, że u dworu to, czego chce król lub królowa, prędzej czy później ziścić się musi. Dla tego wznoszę, że dłuższa zwłoka w zawarciu waszych ślubów małżeńskich może przywieść zupełne ich zerwanie.

— Ha, cóż robić? — odparł Ruszczyc z pewną ironią — kiedy taka będzie wola Bozka i królewska, to się trzeba będzie poddać nieszczęśliwemu losowi.

— Ale nie — rzekł Wota, odstępując od niego parę kroków, otwierając ręce i odwracając na bok nieco głowę — kto zaś słyszał rozpaczać tak łatwo i poddawać się bez walki?

— Poddawać się! tegom ja nigdy nie uczynił — zawołał Ruszczyc, i dodał skazując na rękojeść szabli: — tutaj jest sprawiedliwość na Francuza i sposób rozstrzygnienia rzeczy w ostatecznym razie, a kiedy go poślem ad inferos...

— O nie, nie wspominajmy o tak krwawych środkach — rzekł Wota z pewnym wyrazem zgrozy — zwłaszcza, kiedy mamy inne łagodne i nieszkodzące nikomu. Ja np. wiem sposób łatwiuteńki nakłonienia królowej do jak największej przychylności ku Wam.

— Doprawdy? jakiż tedy? radbym wiedzieć — zapytał Ruszczyc.

— Oto — rzekł Wota, oglądając się znowu na wszystkie strony — ale mię na miłość Boską nie wydajcie, bo to są tajemnice stanu.

— Nie nie, mówcie śmiało — rzekł Ruszczyc ciekawością zdjęty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISZPANKA

CZYLI

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Ciąg dalszy.)

Była blada, blada jak śmierć; — krew zdaje się wszystka ubiegła z pięknej jej twarzy; — przecież szła prosto, dumnie wzniosła głowę i we wdowieńskim, czarnym swym stroju wyglądała majestatycznie jak królowa. A czyż nie miała prawa dyć dumną? Wszak mąż jej był zbrodniarzem tylko w obec prawa obcego narzuconego przemocą. W obec Hiszpanów więc, w obec własnych rodaków, był człowiekiem honoru, który co miał najdroższego, wszystko sta·

wił na kartę, poświęcając się za Ojczyznę. Czyż dla tego, że przegrał stawkę, mniej był wielkim, mniej był szlachetnym?

Ojczyzna czci przecież najbardziej najnieszczęśliwszych swych synów — synów co w jej obronie ofiarą padli. Tak Andrzej Hofer był czczony od swego narodu i od swego cesarza. Tak żyje dotychczas w ustach wszystkich dwunastu oficerów Szilla, których Napoleon przed dwoma laty rozstrzelać kazał. Tak żyje Kościuszko wzięty pod Maciejowicami, żyją Łukasińscy, Konarscy, Zaliwscy i niezliczeni polscy męczennicy. Byli oni wszyscy od nieprzyjaciół Ojczyzny zamordowani, wszyscy zmarli bohaterską śmiercią za Ojczyznę. Tak samo miał być zamordowanym mąż nieszczęśliwej kobiety. Była jednak w pewnym względzie różnica. Dla owych jenerałowie nieprzyjacielscy wyrzekli słowo mordu. Tutaj hiszpańscy sędziowie wydali wyrok śmierci.

Czy ta śmierć nie była również mordem, tylko że mającym się dokonać za pomocą własnych współziomków?

O hańba, wieczna hańba hiszpańskim sędziom, co mieli sumienie w służbie obcego despoty poświęcać krew hiszpańską swych braci!

A było ich wielu — bardzo wielu, takich spodlonych. Szczęście przynajmniej, że historya nie zapisała ich nazwisk ku wiecznej niesławie.

Nieszczęśliwa kobieta szła z podniesioną głową. Wiedziała, że mąż jej z równem męztwem, z jakiem się poświęcił, wytrwa do ostatka. Miałaż okazać słabość lub zwątpienie? Miałaż mu w ostatniej godzinie życie zatruć, odnowić w nim walkę, która tak często wrzała w jego duszy, a z której wyszedł zwycięzko? A potem prócz ostatniego pożegnania jeszcze inny cel prowadził ją do niego: chciała mu szepnąć słówko nadziei. Ale, czyż je wymówić zdoła — czyż je wymówić powinna? Na samę myśl, że plan jej wielkoduszny na niczem spełznąć może, wszystka krew ścięła się w jej żyłach, dręczący niepokój zawładnął sercem; zachwiała się i ledwo nie upadła, ale siłą woli wnet przyszła do siebie i mężnie szła dalej.

Zmrok wieczorny zapadał. Całe miasto w wielkim było ruchu. Okropne widowisko srogiego aktu, który nazywają aktem sprawiedliwości, sprawia już naprzód wielkie wrażenie, tak między wykształconemi ludźmi, jak i wśród ciemnego tłumu. Mimowolne uczucie zgrozy ogarnia wszystkich, nawet wtenczas, gdy zwyczajny morderca ma być traconym. To uczucie jakiegoś przestrachu w rozmaity objawia się sposób. Jedni, lepiej wychowani, tłumią je wewnątrz siebie i tylko po smutku rozlanym na ich obliczu poznać się ono daje. Człowiek prosty, — nieokrzesany, nie może tego uczucia w sobie zatrzymać; musi się go pozbyć wylewem na zewnątrz; objawić je wesołym krzykiem w gronie towarzyszów przy kieliszku wódki. Tak to chce ród ludzki się bawić. Tutaj miał topór kata dosięgnąć męża, co Ojczyznę chciał uwolnić od nieprzyjaciela — wybawić ją z więzów francuzkiej tyranii; który za to od sędziów służących na żołdzie Napoleona został ogłoszony zdrajcą Ojczyzny: mąż w kwiecie wieku, również szlachetny urodzeniem, jak wielki charakterem i męztwem.

Ciekawych całe tłumy przybyły z blizka i z daleka i przebiegały ulice miasta. Przez ich środek postępowała nieszczęśliwa kobieta, żona skazańca, wraz z dziećmi. Ludzie stojąc spokojnie, zatrwożeni, przypatrywali się z szacunkiem przechodzącej. I najtwardsze serca nie mogły się oprzeć uczuciu litości i uwielbienia.

— Ach! jaka piękna! — wołano.

— A jaka blada!

— A te biedne dzieci!

— Jak śliczna jest ta mała, którą niesie służąca!

— Tak słodko się uśmiecha, — bawi się z różą i skubie jej listki — wesoła i szczęśliwa w swem niemowlęctwie!

— I chłopiec jaki wesoły! — pewno się cieszy, że niedługo zobaczy ojca, którego już dawno nie widział, a za którym bardzo tęsknić musi. Że go już po raz ostatni ma widzieć, czy wie o tem tylko to biedne dziecko?

— Czy jeszcze daleko do ojca? — spytał się chłopiec matki.

— Zaraz będziemy u niego, mój Fernando.

Kobiety, które to słyszały, nie mogły się wstrzymać od płaczu, i w oczach wielu mężczyzn łzy stanęły.

Hrabina doszła nareszcie do więzienia, które leżało na końcu miasta.

Miasto to było dawniej fortecą, którą przecież już od wielu lat zniesiono. Wały zostały urządzone na spacery, fossy pozasypywane. Tylko na około więzienia pozostawiono szeroki

i głęboki rów. Prowadził przez niego tylko jeden most od strony miasta. Był on z drzewa, tak że każdej chwili bez trudu można go było zerwać. Prócz tego mógł być zwodzony i jeszcze w ten sposób przyjście i wyjście z więzienia uczynić niepodobnem.

Na prawo od gmachu więzienia był szeroki, obszerny plac. Leżał on jeszcze wewnątrz dawniejszego wału fortecznego, dzisiejszych spacerów, które się ciągnęły na około niego. W tyle znajdowało się wywyższenie, które bezpośrednio było połączone z wałem promenady.

Prawdopodobnie był to dawniej szaniec.

Hrabina obejrzała sobie wszystko dokładnie.

I stary Joachim zapuszczał na wszystkie strony sokole oko. Nagle oczy spuścił ku ziemi, potem je podniósł ku swojej Pani. Tam w tyle przy starym szańcu, na wywyższeniu, zebrała się była gromada ludzi. Jedni stali, drudzy chodzili w kółko i ciekawie się czemuś przypatrywali. Widocznie musiało się tam wydarzyć coś szczególnego, albo dopiero wydarzyć się miało; dotąd jeszcze nie było nic widać.

Hrabina spojrzała w tamtę stronę, zadrżała i jękła boleśnie.

— Tam budują rusztowanie! — szeptano w tłumie.

Biedna kobieta podwoiła kroku. Była już na moście. Więzienie stało tuż przed nią. Widziała ciemne, nagie mury i małe, wązkie, kratami opatrzone okna wyższych piętr. Na końcu mostu była silna, w żelazo okuta brama, do której przytykał z obydwóch stron wysoki mur, ciągnący się na około całego gmachu. Niższe piętra, jako i przestrzeń koło niego się znajdująca, były w ten sposób zakryte przed okiem przechodnia.

Hrabina zatrzymała się na moście. Byli sami; tłum bowiem wszystek cofnął się pełen uszanowania. Zwróciła się do starego strzelca.

— Joachimie, ty wiesz wszystko!

— Oby Bóg nam dopomógł, biedna Joanno!

Stary sługa zwał ją tak dzieckiem, i później jeszcze jako dziewicę tak ją nazywał. Odtąd, gdy poszła za mąż, w rzadkich tylko chwilach gwałtownie wezbranego uczucia imię to brał na usta. Od wzruszenia i natężenia ledwo mógł mówić.

Hrabina mówiła dalej:

— Opuścisz mnie z dziećmi, skoro ci dam znak. Anna niech zaraz wróci z niemi do hotelu. Ty zaczekasz tu w bliskości mostu i weźmiesz go w swą opiekę. Albo mnie — wyrzekła spokojnie i dobitnie. — Albo mnie! — wybuchnęła naraz głośnem łkaniem.

— Oby Bóg tego nie dopuścił, moje dziecko — mówił starzec. — Taka miłość, takie poświęcenie, taka odwaga powinny znaleźć nagrodę. Ty idziesz dobrowolnie na ofiarę, wystawiasz się sama na męczarnie, które niewiadoma ile straszliwych godzin, dni, a może i tygodni potrwają! Ja, jedyny twój przyjaciel, w okropnej twej niedoli, nie mogłem, nie chciałem cię od tego powstrzymać. Bóg cię poprowadził, poprowadził aż dotąd; on i dalej cię nie opuści.

— Oby mnie wspierał dalej; — mówiła kobieta i łzy rzewne otarła.

Doszli do końca mostu i strzelec zapukał do bramy. Za odsunięciem zasuwki odkrył się otwór mający średnicy ledwo cztery cale i pokazała się twarz z tamtej strony.

— Kto tam?

— Hrabina Gonzales, — powiedział strzelec.

— Czekać! — była krótka odpowiedź i otwór się znów zasunął.

Dyrektor więzienia uwiadomił był hrabinę, że męża jej jutro tracić będą; że skazany życzy sobie widzieć się jeszcze z żoną i dziećmi; że to jego życzenie uwzględnionem zostało, i że jej dzisiaj po południu oczekują.

Straż przy bramie wiedziała o tem, że hrabina ma przyjść i musiała odnieść teraz jej przybycie. Dało się teraz słyszeć skrzypnięcie klucza w bramie, otworzyły się małe drzwiczki, i w nich ukazał się inspektor więzienia. Rzucił śledczym wzrokiem po hrabinie oraz i jej otoczeniu, potem się do niej odezwał:

Proszę Pani, tylko Panią samę i jej dzieci wolno mi wpuścić; służący muszą pozostać.

— Ależ to małe dziecko chodzić nie może i trzeba je nieść, — odparła hrabina.

— Żałuję bardzo, ale muszę się ściśle stósować do rozkazów, jakie odebrałem, bo tu rządzi rygor wojskowy.

Hrabinie na tem bardzo zależało, aby domownicy jej towarzyszyli, i liczyła na to. Potrzebowała koniecznie ich pomocy dla wykonania planu dawno ułożonego, z którym tu była

przyszła, a który teraz tak niespodzianie został pomięszanym.

Biedaczce ledwie serce z żalu nie pękło. Puszczała się sama jedna, pozbawiona pomocy jedynych przyjaciół, jacy jej pozostali, w wir walki rozpaczliwej, prawie bez nadziei zwycięztwa; sama z dziećmi, z których jedno musiała nieść, a drugie prowadzić.

Widząc, że nic nie wskóra, a nie chcąc wzbudzić podejrzeń, nie napierała już więcej; urzędnik, który miał też może żonę i dzieci, zaczął się usprawiedliwiać, że tego ani on sam, ani nawet sam dyrektor zmienić nie może, bo srogi rozkaz przyszedł „z góry".

— Ale jeżeli Pani pozwoli — rzekł — to jej cokolwiek pomogę; i przystąpił do służącej, chcąc z jej ręku wziąść dziecko. Hrabina go uprzedziła.

— Nie, mój panie, dziękuję bardzo, — i wzięła je sama.

— Tu przy mnie, tu na mojem ręku, oto wasze miejsce, moje dzieci, gdy oko ojca ostatni raz na was spocznie. Wy oboje czekajcie tu na mnie, — rzekła do służących; poczem poprosiwszy urzędnika, aby był jej przewodnikiem, z małem dziewczęciem na ręku i chłopcem przy boku, przeszła przez drzwiczki wolnym krokiem — w szlachetnej postawie. Spojrzenia pełne litości i podziwienia dla pięknej, nieszczęśliwej kobiety, przyjęły ją z tamtej strony bramy. Drzwi się za nią zamknęły, i była już wewnątrz więziennego podwórza. Nie było ono obszernem i tworzyło długi, nieregularny czworobok; z trzech stron okalał je mur, czwarta tworzyła front gmachu więzienia. Na podwórzu leżało tylko kilka przedmiotów. Hrabina szybko obejrzała wszystko bystrym i spokojnym wzrokiem. Plan jej pierwszy spełznął na niczem; ale już tworzyła inny, bo jej postanowienie wyswobodzenia męża było niezłomnem, a siła i odwaga wróciły napowrót do serca. Ale to co widziała, nie mogło jej pocieszyć. Tuż przy bramie stał pod bronią podwójny posterunek. Tuż obok był rodzaj loży odźwiernego, w której kilku stróżów więziennych, jako właściwa straż bramy nieustannie się znajdowało. Były tam na wszystkie strony szerokie, jasne okna, i niepodobieństwem było, żeby ktoś doszedł do bramy nie będąc z wewnątrz loży widzianym. Po drugiej stronie bramy naprzeciw loży odźwiernego leżał mały, wązki budynek: był to odwach straży wojskowej, przeznaczonej dla więzienia. Przed nim stało dwanaście sztuk broni w kozłach, dwanaście ludzi było więc na odwachu. Jeden z nich przechadzał się wciąż przed domem odwachu. Dwóch stało, jak się wyżej rzekło— przy bramie. Jeden znajdował się przy drzwiach głównych więzienia; był jeszcze prócz tego dozorca; a żandarmi kręcili się na wszystkie strony po podwórzu. W obec takich środków ostrożności jakże można było nawet myśleć o ucieczce, wyprowadzeniu lub uwolnieniu w jakikolwiek sposób?

Ze dwadzieścia oczu zwróciło się na hrabinę, jak tylko była weszła na podwórze. Śledzili każdy jej krok, każde jej spojrzenie. Nawet dziecko, które miała na ręku, i chłopiec, który szedł obok, były przedmiotem nieustannej i podejrzliwej uwagi.

Tylko żandarmi rzucali spojrzenia pełne litości i zarazem uwielbienia ku szlachetnej kobiecie. Byli to Francuzi, przybysze, którzy pomagali uciskać obcy naród, ale i dla szlachetnych dusz tegoż narodu mimo to zachowali przyjaźń. Dla tego mogli oni czuć tylko pogardę dla drugich stróżów, co się dali użyć na narzędzie do ucisku własnego narodu, a sami nie mieli żadnego uczucia, albo raczej uczucie własnej hańby gwałtownie w sobie tłumili.

Inspektor wprowadził hrabinę do wnętrza więzienia. Drzwi jego były właśnie naprzeciwko bramy mostowej. I u tych drzwi stał wewnątrz posterunek. Przez wązką sień doszli do schodów. Schody te prowadziły do długiego korytarza. Na górze znów posterunek; dozorców i żandarmów pełno się kręciło. Jeszcze drugie schody trzeba było przejść, potem trzecie. Wszędzie żołnierze, dozorcy i żandarmi. Czyliż jeszcze teraz można było myśleć o uwolnieniu?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CÓRKA CIEŚLI.

Podanie indyjskie.

W pewnem królestwie na wschodzie żył ubogi człowiek, tak dalece pozbawiony wszelkich posiadłości ziemskich, iż nie mógł nigdy zgromadzić dostatecznych środków prowadzenia swego rzemiosła, mianowicie ciesielstwa, i zmuszonym był ograniczyć się na zbieraniu starego drzewa wraz z żoną i córką. Jeżeli nazbierali tyle ile potrzeba było na zakupienie całodziennej żywności tj. mąki, to cieszyli się ze skromnej uczty; lecz nie zawsze wypadało tak dobrze, a konieczność poszczenia powtarzała się nareszcie tak często iż wszyscy razem głód cierpieli.

Jakkolwiek Nur-Single i jego żona sami również biedę znosić musieli, to jednak dokuczała ona im głównie przez wzgląd na córkę. Jedynaczka ich mogła już iść za mąż, ale nie było prawie nadziei aby uniknęła zostania starą panną; bo cóż począć mieli rodzice, aby zebrać środki niezbędne do jakiego takiego zamęścia? Na cóż mogła się zdać jej piękność, gdy nikt nie zadał sobie trudu rozgłoszenia jej sławy po okolicy? Wszakże żyli w zupełnem odosobnieniu; a sąsiedzi i kumoszki, na pogotowiu mający język ilekroć jest nadzieja odsługi, nie mieli powodu okazania w tym razie współczucia.

Tuliza, nieraz przeglądająca się z przyjemnością w poblizkim stawie, nie była pozbawioną dumy i pomimo całego swego ubóstwa snuła rozmaite marzenia, lgnęła do nich całą duszą i nieraz długie ciężkie godziny słodziła sobie dziennemi złudzeniami. Wyobrażała sobie wtedy że jest księżną i była w stanie zapomnieć na pewien czas o gorzkiej nędzy i dokuczliwem położeniu w pośród wymarzonych obrazów pysznego życia, niepodobnego nigdy do urzeczywistnienia. Szara ziemia na której leżała wydawała jej się srebrzystym dywanem, na którym spoczywała pod nakryciem z najdroższych atłasów, otoczona wszelkiemi wygodami najwykwintniejszego bogactwa. Lecz niestety aż za często przerywała jej te marzenia konieczność pójścia do lasu i zbierania drzewa.

W tych wycieczkach do lasu, napotkała raz rozwaliny starej studni, porosłe całkiem wysoką trawą, a w około na wielką swą radość, ujrzała znaczną ilość leżącego drzewa, którego czemprędzej zebrała wiązkę większą niż zwykle. Kiedy właśnie tem była zajęta, przestraszył ją głos, zdający się wychodzić ze studni i wołający na nią po imieniu. Zdziwiona obejrzała się do koła, nie spostrzegła nikogo lecz wyraźnie usłyszała te słowa:

— Czy chcesz zostać moją żoną? —

— Przestraszona porwała na plecy wiązkę drzewa i oddaliła się spiesznie, czyniąc mocne postanowienie nigdy do tego strasznego miejsca się nie zbliżać.

— Lecz dobra zapłata otrzymana za drzewo podobała jej się bardzo, a kiedy ostatni kauri się rozszedł, a nigdzie w okolicy ani kawałka drzewa znaleźć nie mogła, musiała pokonać obawę spotkania się z „dżinem" i znowu poszła do studni. Widok drzewa, leżącego w większej jeszcze ilości niż po raz pierwszy zachęcił ją do zbliżenia się aż do samego przerażającego miejsca. Szybko zebrała wiązkę i spodziewała się bez żadnego zdarzenia oddalić się ze swoim ciężarem, gdy usłyszała te same wyrazy:

— Czy chcesz być moją zoną? —

Wylękniona bazdziej niż poprzednio zaczęła uciekać tak szybko jak mogła ze swoją wiązką i wpadła do mieszkania bez żadnej innej przygody. W domu nędza nie długo dokuczać zaczęła, bo rodzice również nie mogli nigdzie znajść drzewa. Zmusili też Tulizę do spróbowa-

nia szczęścia raz jeszcze, w skutek czego opowiedziała im okoliczności napełniające ją przestrachem. Poczciwiec cieśla i jego żona nie uznali jednak rzeczy za tak okropną, jak ich bojaźliwa córka, a poradzili jej właśnie raz jeszcze pójść do studni, a jeżeli głos trzeci raz się odezwie odesłać oświadczającego się o jej rękę do ojca.

Tuliza usłuchała chociaż niechętnie, a gdy już zwykle już związała drzewo i zabierała się do odejścia, usłyszała przerażające pytanie:

— Czy chcesz być moją żoną? —

Zebrawszy całą odwagę, odrzekła drżąco:

— Jak mogę zgodzić się na żądanie, które powinno być najpierw objawione memu ojcu?

— Przyszlij tu twego ojca, rozległ się głos, a zawrzemy ugodę.

Uradowana że tak tanim kosztem z kłopotów się wybawiła, powróciła Tuliza do domu i opowiedziała rodzicom wiernie, co jej się przydarzyło. Ale ojciec natychmiast ruszył w drogę i tym razem, rzecz dziwna, trafił wprost do studni. Nie długo także musiał czekać na ów głos; z głębi studni rozlegały się dobitne te słowa:

— Jesteś w ubóstwie i nędzy; oddaj mi twoją córkę, a uczynię was wszystkich bogatymi i szczęśliwymi. Otrzymacie najpiękniejsze szaty i najlepsze potrawy: skarby wasze mnożyć się będą, gdyż ja mam moc zadowolenia życzeń waszego serca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Po wejściu Kazimierza ukazały się z małego pokoiku Piotrowa z Zosią, obie czysto i schludnie ubrane.

Kazimierz, jakby odurzony tą nagłą zmianą, stał i patrzał niepewny, czy to sen, czy rzeczywistość. Obok niego stał Piotr z wypogodzonem czołem, z wesołem okiem.... a za nimi wsunął się cichaczem ktoś trzeci.

W pierwszej chwili nikt słowa nie przemówił, wszyscy czuli szczęście, nikt nie chciał tego uczucia przerywać. Aż tu nagle ktoś z tyłu huknął głosem:

— A do stu Krakusów, to ty Kazimierzu takie figle płatasz pokryjomu, a mnie o tem nic nie gadasz? Rozmówimy się potem!

Był to głos starego garbarza, który dowiedziawszy się od Piotra o szlachetnym czynie Kazimierza, wsunął się był za wchodzącemi, i tak donośnym głosem zabrzmiał w tę ciszę.

Zapłoniony Kazimierz chciał się wymawiać;

ale ba! tu już nic nie pomogło. — Do stu Krakusów! wołał co chwila stary garbarz, niby zagniewany, a jak przysiadł Kazimierza, tak ten musiał mu się do wszystkiego jak na Spowiedzi przyznać.

Nie dziękowano mu pięknemi słówkami, nie prawiono mu grzeczności i pochwał; z szczerego nawrócenia się Piotra, z niewymownej radości jego żony i małej Zosi, z gadatliwości poczciwego garbarza czerpał Kazimierz najrzetelniejsze podziękowanie. Teraz dopiero dowiedział się, że Piotr z żoną dzisiaj rano byli u Spowiedzi świętej, że potem sprowadzili się do tego domu, ponieważ Piotr nieraz słyszał, jak Kazimierz w warsztacie i przy innych sposobnościach chwalił garbarza; że za owe cztery talary i za nieco pieniędzy oszczędzonych przez Piotrową posprawiali sobie co najpotrzebniejsze sprzęty; że Piotrowa dawno w ukryciu przed mężem chowany lepszy przyodziewek teraz wydobyła, i na przyjęcie Kazimierza siebie i swoich dzieci ustroiła.

Zasiedli wszyscy koło stołu i gwarzyli. Zosia pokazywała Kazimierzowi książeczkę, którą jej dawniej mama była kupiła, a którą prawie już na pamięć umiała, nie mając innej do czytania; a była „Historya polska” z obrazkami.

Przy tej sposobności Kazimierz jej opowiadał różne a różne wypadki, których w jej książce nie było, szczególniej o sławnych Polkach, a ona go słuchała bardzo ciekawie i uważnie, czyniąc mu przytem wiele zapytań.

Tymczasem matka szyła bieliznę, przysłuchując się z widocznem ukontentowaniem rozprawom Kazimierza z Zosią, a stary garbarz zażywając od czasu do czasu tabaczki, żywo o czemś rozprawiał z Piotrem.

I tak nie wiedzieć jak noc się zbliżyła; Kazimierz wstał i zabierał się do wyjścia.

— Już to pan odchodzisz? — zapytała się z żalem Zosia.

I Kazimierzowi jakoś dobrze tu było, ale późna pora nie pozwalała dłużej się zatrzymywać.

Zresztą stary garbarz zerwawszy się ze swego stołka, zawołał:

— Ba, ba, ba! do stu Krakusów! toć to już późno, a choć tu nam razem jakoś nieźle, to jednak nie możemy całej nocy kusić. Chodź, Kazimierzu! spokojnej nocy! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I rozeszli się.

Tak Kazimierz usilną pracą i poświęceniem swojem wielkiego dokonał dzieła: nawrócił grzesznika, pozyskał go Bogu i uszczęśliwił przez to całą rodzinę. Takie czyny Bóg tylko jeden umie dostatecznie wynagradzać.

IX.

Fraczek czy Czamara.

Nauki, o które Kazimierza jego towarzysze prosili, odbywały się jak najregularniej, bo też i on sam bardzo ładnie umiał opowiadać rzeczy z dziejów ojczystych i przynosił bardzo piękne książki, z których zwykle sam czytywał, objaśniając lub dodawając, co było potrzeba, tak żeby każdy wszystko zrozumiał. Po nauce następowała zawsze budująca i nauczająca pogadanka, albo też uczciwa jaka zabawa.

Na te nauki uczęszczali nie tylko wszyscy robotnicy z tokarni pana Karola, ale i z sąsiedztwa przybywali rozmaici rzemieślnicy, jako to: stolarze, szewcy i inni; jako znajomi, chcieli i oni korzystać z tych wspólnych nauk.

Między tą młodzieżą było dwóch czeladników stolarskich: Albert i Leopold. Ojcowie ich przed dawnemi czasy przyszli byli z zagranicy do Warszawy, osiedli tutaj, pożenili się i uczciwie sobie pracowali.

Synowie ich, Albert i Leopold, chociaż w różnych pracowali warsztatach, gdy tylko mogli, razem z sobą przebywali, zawsze ich razem widywano w dniach wolnych od roboty, jakby jeden bez drugiego żyć nie mógł, tak że gdzie Albert był, tam Leopolda pewnie znaleźć było można.

A byli to wcale nieszpetni młodzieńcy, w rzemiośle biegli, trzeźwi, pracowali już nawet sami na siebie, a byli nie bez nauki i pewnej ogłady; przy tem uprzejmi i usłużni dla każdego, słowem, wcale przyjemni ludzie.

Ale cóż z tego wszystkiego, kiedy w wielu rzeczach mocno się różnili od wszystkich towarzyszów Kazimierza, a szczególnie od niego samego.

Ubierali się jakoś dziwacznie. Kiedy to w Niedzielę lub Święto czeladź rzemieślnicza się zeszła na nauki, to aż serce skakało z radości, gdy sie spojrzało po dzielnych chłopakach. Każdy był w szacie świątecznej: przestronne sukmany, albo czamarki, gdzieniegdzie nawet i kontusz, szerokie szarawary, buty fałdziste, czapki z bobrami, a starsi z wąsem zawiesistym pod nosem. Gdyby ich pradziadowie jakim cudem z grobów powstali, toby się pewnie takich potomków nie wyrzekli; owszem, ucieszyli by się, widząc, że wnukowie nie odstąpili od pięknego stroju Ojców swoich.

Lecz ci dwaj przyjaciele inaczej wyglądali. Kiedy się wystroili w swoje fraczki, twarze gładko wygolili, to tak jakoś kuso, spiczato, obcięto wyglądali, że ni rękę uchwycić, ni oko fałdy jakiej dopatrzeć nie zdołało. Byli zaiste podobni do suchych lasek, sterczących między bujnemi drzewami. Zapomnieli biedacy, albo nie wiedzieli o starej śpiewce mazurskiej:

Nie cyń grzechu niecystego,
Stzez się stroju niemieckiego.

Zapomnieli, że za

Jana Trzeciego, gdy Wiedeń wsławił,
Głos był powszechny między Niemkami:
Oto król polski, co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z temi wąsami!

Kiedy wszyscy, zachowując staropolskie obyczaje, koło Bożego Narodzenia śpiewali sobie kolendę, a krzykali z całego gardła: — Hej! wino, wino, wino, lepsze niż przedtem było w Kanie Galilejskiej, — kiedy wszyscy w Adwencie i przed Wielkanocą zachowywali ścisły post, kiedy inni do kościoła co Niedzielę i Święto chodzili, narodowe pamiątki historyczne wspólnie obchodzili, zgoła całem życiem swem i postępowaniem pokazywali, że nie tylko duszą, ale i ciałem, nie tylko w sercu, ale i zewnętrznie byli katolikami i Polakami; to ci dwaj tymczasem mówili, że to wszystko rzeczy podrzędne, że można tego wszystkiego zaniechać, a jednak być dobrym Polakiem.

Nieraz chlubili się, że bywali na nabożeństwie w cerkwi schizmatyckiej, aby napatrzyć się nowym ceremoniom, bo swojego kościoła ceremonie już dobrze znają; jakby to do kościoła chodziło się z ciekawości, niby na komedye jakie; inny raz opowiadali, że byli w zborze dysydenckim na powszechnej spowiedzi, i że się bili razem z wszystkimi w piersi. Opowiadali te rzeczy, jakby je widzieli gdzie na jakiej komedyi lub w teatrze, i śmiali się przy tem, jakby coś dowcipnego byli zrobili.

I posmutniał Kazimierz, widząc, że ci dwaj młodzieńcy nie zachowywali się tak jakby na prawdziwych synów Kościoła i Ojczyzny przystało; inni zaś towarzysze radzili Kazimierzowi, aby ich nie przypuszczał do towarzystwa, żeby z nimi nie przestawać, kiedy się pomimo przedstawień nie chcą poprawić i zastosować do obyczajów narodowych.

Lecz Kazimierz na to odpowiedział:

— Czyż tym sposobem ich poprawimy? Czy tem wykluczeniem nie utwierdzimy ich jeszcze w uporze? Poczekajmy cokolwiek, przyjdzie czas, gdzie i oni prawdę uznają i poprawią się!

Z tego powodu nie omieszkiwał Kazimierz kiedy się zdarzała pora, dawać Albertowi i Leopoldowi zbawiennych rad, napominać ich czasem, czemu tak się przebierają po cudzoziemsku i chcą odróżniać od całego narodu, skoro uważają się za Polaków i chcą, żeby wszyscy za Polaków ich mieli.

Oni mu na to:

— A Francuzi, Anglicy, narody najpotężniejsze i najwięcej wykształcone, czy ubierają się po francuzku lub po angielsku? Im który naród rozumniejszy, tem więcej zbliża się do obyczajów powszechnych światowych, zarzucając narodowe.

A Kazimierz na to:

— Nie wiem, czy Francuzi i Anglicy ubierają się po obcemu, ale to wiem, że wieśniacy i rzemieślnicy i wszyscy, co należą do stanu średniego, i którzy stanowią właściwy naród, wszędzie mają swój właściwy ubiór, z dawien dawna przyjęty i zachowywany. Ale zresztą nas Polaków nie można zupełnie równać z Francuzami i Anglikami. Francuzi i Anglicy mają swój własny rząd narodowy, są wolni i niepodlegli. Nikt obcy nie zagraża ich narodowości, nie potrzebują obawiać się, aby przemocą lub podstępem nie zostali pozbawieni języka i obyczajów ojczystych, czyli swej narodowości. My zaś Polacy, czy w równem znajdujemy się położeniu? Męczennicy chrześciańscy, którzy teraz w niebie królują, wiarę Chrystusową nietylko w duszy i w sercu chowali, lecz jawnie i wszędzie usty i czynami ją wyznawali, i żadna potęga ludzka wygładzić jej nie zdołała. Jak

więc nasza święta religia wymaga, abyśmy ją nie tylko w sercu, lecz także publicznie wyznawali: tak i Ojczyzna nasza żąda, aby jej synowie i wewnętrznie i zewnętrznie wyznawali, że są jej synami, że są i chcą być Polakami. Wiele już złego spłynęło na naszą Polskę z tego, że wyższe klasy nie łączyły się z ludem, że zarzucały strój i obyczaje narodowe. Jakże to naprawić? Oto łączyć się z ludem i pozyskać jego serce, wracając do dawnego stroju i do dawnych obyczajów, a wtedy lepsze niezawodnie czasy nastąpią. — Tak, moi kochani, lud nasz ma was za obcych i za cudzoziemców, bo nie zagląda do waszej duszy, ale sądzi was z waszej powierzchowności. Pokażcie mu się w tym waszym cudzoziemskim stroju, czy uzna was za rodaków? Pewnie nie. Sami może tego z czasem doświadczycie.

Poznawali powoli Albert i Leopold, że Kazimierz miał słuszność, i na te słowa jego nic dorzecznego odpowiedzieć nie mogli, bo też świętą prawdę im mówił; a jednakże pozostali czem byli, i tak jak dawniej, we fraczki się stroili. A dla czego? Ot, trochę z uporu, a więcej może z fałszywego wstydu.

Niezadługo jednak miała się przepowiednia Kazimierza ziścić.

Razu pewnego, było to w Sobotę, już wieczorem szedł Kazimierz przez plac Grzybowski, gdzie się odbywa targ na zboże, słomę i siano, i przypadkiem spotkał się z Albertem.

— A dokąd to? — zagadnął go tenże.

— Ja, na Pragę — rzekł Kazimierz.

— Pewnie do Piotra?

— Tak jest, do Piotra, a ty?

— Ja, ot tak na przechadzkę.

— To odprowadź mnie do mostu, jeśli łaska.

— I cwszem; chodźmy!

Kiedy tak szli razem, zaszedł im drogę jakiś włościanin, porządnie ubrany w szarej sukmanie, w butach z wysokiemi cholewami; skłonił im się nizko, a zwracając się do Kazimierza, tak go zagadnął:

— Proszę też pana, czy nie wie pan, gdzie mieszka młynarz Kamieński? Kilka dni temu zamówił u mnie żyto, a tu go szukam i jeżdżę już od dwóch godzin po mieście, a nikt mi nie umie powiedzieć! Czyliby pan nie wiedział, gdziebym go znalazł?

Kazimierz zastanowił się: Kamieński? Kamieński? — i jakby sobie przypominając, wskazał na Alberta i rzekł:

— Ot ten pan wam powie, bo zdaje mi się sąsiaduje z tym młynarzem Kamieńskim.

— Ba! dobrze że powie, — rzekł kmieć — kiedy bo ja może tego pana nie zrozumiem. Jabym wolał, żeby mi właśnie pan powiedział!

Albert urażony do żywego fuknął:

— A to czemu byście mnie nie zrozumieli? Czy gadam po turecku?

— Ach! to pan mówi po naszemu? — zawołał kmiotek zadziwiony, a spojrzawszy po jego obcym stroju, dodał: — Anibym się tego był spodziewał.

— A to czemu? — zapytał się Kazimierz.

— Z przeproszeniem panów — rzekł kmiotek — bo nasi panowie tak cienko nie wyglądają. Nawet nasz pan dziedzic, choć chuderlawy, ubiera się suto, i wygląda statecznie, że jest przecie na co spojrzeć.

— No, widzisz, poczciwy przyjacielu, — rzekł Kazimierz, — że czasem i nasi sobie żartów pozwalają.

— Aha! to figiel, — zawołał poczciwy kmiotek. He, he, he! — ja sobie zaraz pomyślał, że to jakiś żart: gada po naszemu a chodzi po obcemu. Ja też pana bardzo przepraszam, bo to wiejskiemu człowiekowi co w sercu to i na języku. No, a teraz proszę pana: gdzie to pan Kamieński siedzi?

— Poprowadzimy was obaj, — rzekł Kazimierz, i poszli z kmieciem i jego wozami.

W drodze rzekł Kazimierz do Alberta:

— Widzisz, mój drogi, że lud nasz czuje pociąg ku swojemu, tak jak ten oto kmieć ku mnie; a kogo w obcym widzi stroju, od tego stroni, nie dowierza mu wcale.

Albert jakoś ani słówka nie odrzekł — i szedł tak w milczeniu, aż się zbliżyli do domu Kamieńskiego, a nie rzekłszy ani słowa, wskazał kmiotkowi ręką na dom.... i odszedł.

A kmieć poglądając za nim zawołał tak, że odchodzący mógł go jeszcze dosłyszeć:

— Co to za człowiek jakiś, nawet podziękowania mego nie chce. Ha! to już więcej niż żarty, i pokręcił głową.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Podczas wojny tej ucierpieli koloniści bardzo wiele przez Indyan i Francuzów. A pomimo iż kolonia New York połączyła swe siły z ludźmi kolonii w Massachusetts dla wspólnej ekspedycyi do Canady, to jednak pobił Frontenac, gubernator Canady, połączone siły w sierpniu 1690 roku. Wojna ta trwała aż do 1697 i została zakończoną pokojem w Ryswick w Hollandyi (20 września). Lecz Francuzi i Indyanie niepokoili wciąż kolonistów Angielskich. Tymczasem zaszły znów różne kombinacye polityczne w Europie, które wywołały nową wojnę pomiędzy Francyą i Anglią, która trwała od roku 1702 do 1703. W Ameryce jest ona znaną pod nazwą wojny królowej Anny.

Lała się znów krew po dolinach strumieniami. Ekspedycya angielska i kolonistów przeciw Canadzie w r. 1711 nie udała się i walka zakończyła się tylko zawarciem pokoju pomiędzy Anglią i Francyą. Po wojnie królowej Anny panował pokój przez lat 40. Trzeba tu nadmienić, że z powodu panującego zabobonu w owym czasie, występowano niezmiernie surowo przeciw osobom, które były podejrzane o czarownictwo. Setki ich spalono na stosach lub topiono w rzekach. Nawet osoby dość wysoko stojące ulegały karze. — Spory pomiędzy urzędnikami króla i reprezentantami ludu, stawały się coraz groźniejsze i byłyby może już wtenczas doprowadziły do rewolucyi, gdyby nie była znowu wybuchła wojna pomiędzy Francyą i Anglią (1744). Wojnę tę nazwano w Ameryce wojną króla Jerzego. Najgłówniejszym wypadkiem jej w Ameryce było zajęcie przez złączone wojska kolonij: Rhode Island, New Hampshire, Connecticut, Massachusetts, New York i Pennsylvanii, mocnej twierdzy Louisburg na wyspie Cape Breton. Twierdzę tę nazywano Gibraltarem Ameryki. Wybudowanie jej kosztowało Francyi 5½ miliona dolarów. Francya chciała wprawdzie stratę tę odwetować i przysłała potężną flotę, która miała Louisburg napowrót odebrać, lecz burze rozbiły flotę i ekspedycya spełzła na niczem. W dwa lata później zawarto pokój w Akwizgranie (1748).

Najgłówniejszym wypadkiem od tego czasu, aż do rewolucyi była tak nazwana wojna francuzko-indyańska, którą później opiszemy.

ROZDZIAŁ IV.

New Hampshire.

Niejaki Fernando Gorges prowadzący przez dłuższy czas handel z Indyanami, postanowił założyć nową osadę na wschód Plymouthu. Połączywszy się w tym celu z niejakim Masonem, wystarał się o „charter" na kraj pomiędzy rzeką Merrimac aż do Kennebec a w głąb kraju aż do rzeki św. Wawrzyńca. Okręg ten nazwano Laconia; inny okręg, który im darowano, nazywali Mariana. W tym to okręgu osiedlili się w dwóch miejscowościach rybacy angielscy. Gorges ustąpił wnet, a miejsce jego jako zarządzca zajął powyżej wymieniony

Mason, który cały ten kraj nazwał New Hampshire i założył miasto Portsmouth. Tworzyło się coraz więcej osad, lecz ponieważ były za słabe, aby się mogły oprzeć Indyanom i Francuzom, przyłączyły się do kwitnącej już kolonii Massachusetts (1641), do której należały aż do r. 1680, kiedy za rozkazem królewskim zostały znowu od tej kolonii odłączone i stały się prowincyą królewską, którą gubernator wraz z izbą reprezentantów rządził. Tak więc powstał stan New Hampshire.

ROZDZIAŁ V.

Maryland.

Większa część kolonij amerykańskich była wynikiem uciemiężeń politycznych lub religijnych w Europie. Maryland zaludnili prześladowani katolicy z Anglii i Irlandyi. Król Jakób dręczył nie tylko purytanów, ale prześladował także katolików. Purytanie zaś, gdy wpływ ich znowu wzrósł, uciskali katolików jak tylko mogli. Pomiędzy wpływowymi katolikami znajdował się także Jerzy Calvert, który, pomimo iż wiarę swą otwarcie wyznawał, umiał się w łasce królewskiej utrzymać tak, że monarcha (Jakób) zamianował go lordem Baltimore i pozwolił utworzyć kolonię rzymsko-katolicką w Nowej Fundlandyi, którą nazwał Araton, lecz kolonia ta nie istniała długo, gdyż ziemia była bardzo nieurodzajną.

W r. 1628 opuścił lord Baltimore tę kolonię, i udał się do Virginii, aby tu szczęścia spróbować, lecz tu prześladowali katolików zwolennicy kościoła anglikańskiego i dla tego udał się do pięknej, jeszcze niezamieszkałej krainy leżącej ż drugiej strony rzeki Potomac. Kraj ten podobał mu się i tu założył kolonię. Lord Baltimore umarł w dniu 25 kwietnia 1632 a syn jego Cecil objął gubernatorstwo po nim. W honor królowej Henryetty Maryi została prowincya nazwaną Maryland. Była to najliberalniejsza kolonia owych czasów. Rząd prowincyi nie był wcale zależnym od króla. Wszystkie sekty chrześciańskie były równouprawnione, wyjąwszy unitaryanów, którzy nie wierzyli w Trójcę św. i tych, którzy nie uznawali Objawienia Bozkiego. Król nie miał prawa nakładać podatków.

Imigracya do Maryland poczęła się na dobre w r. 1633. Koloniści, którzy w r. 1634 przybyli, zapłacili Indyanom za kraj, który zabrali, przez co sobie ujednali ich łaskę i przez długi czas przez nich nie byli zaczepiani. W r. 1639 urządzono izbę reprezentantów, której powinnością było zabezpieczyć kolonistom wszystkie przywileje, jakich używali obywatele w Anglii. Lecz gdy koloniści pomnażali się coraz bardziej, wypowiedzieli im Indyanie wojnę, która trwała od r. 1642 do 1645. Zaraz potem wybuchło powstanie, które trwało 18 miesięcy. Gubernator Calvert musiał ubiedz do Virginii, lecz po uśmierzeniu powstania wrócił i objął na nowo swój urząd (1646). Władza prawodawcza uchwaliła w r. 1649 tak nazwane akta tolerancyjne tj. potwierdziła wolność religijną. W Anglii nastała tymczasem zmiana. Cromwell był u steru a w Maryland pomnożyli się protestanci tak, że liczbowo przewyższali katolików, których z czasem wyzuli ze wszystkich praw. Powstały zatem rozruchy pomiędzy katolikami i protestantami, które trwały przez długie lata i się dopiero zakończyły zmianą dynastyi w Anglii (w czerwcu 1660). Następnie panował pokój przez lat 30. W r. 1689 powstały znów niesnaski religijne, podczas których protestanci znów sobie przywłaszczyli władzę. W r. 1691 zakończył król angielski sprawę przez włączenie Maryland'u do kolonii czysto angielskich. Pierwszym gubernatorem królewskim był Lionel Copley (1692). Zaprowadzono nowe prawa, tolerancya religijna została zmienioną i religia anglikańska ustalona a katolicy, którzy założyli tę kolonię, pozbawieni wszystkich praw obywatelskich. Dopiero w r. 1716 ustanowiono znów dawniejszą formę rządu, która trwała aż do r. 1776, kiedy utworzono stan Maryland.

ROZDZIAŁ VI.

Connecticut.

Adolf Block, Hollandczyk, odkrył w r. 1614 rzekę Connecticut i nazwał ją Versche czyli „świeżą wodą". Wnet po nim przybyli kupcy z Hollandyi, którzy prowadzili dość korzystny handel z In-

dyanami. W pobliżu dzisiejszego Hartford zbudowali twierdzę, którą nazwali Dutch Point.

Koloniści, którzy w r. 1627 przybyli, zaprzyjaźnili się z purytanami. Ci ostatni odwiedziwszy żyzne okolice nad rzeką Connecticut, powzięli zamiar osiedlić się także nad nią. Z powodu tego powstały niesnaski i nawet krótko trwająca wojna pomiędzy osadnikami angielskimi i Hollandczykami, która się zakończyła na korzyść pierwszych.

Potężnemu plemieniu Pequodów nie podobało się, iż osadnicy utrzymywali przyjazne stosunki z ich nieprzyjaciołmi Mohikanami i dla tego poczęli niepokoić osadników. Nasamprzód kradli dzieci, następnie zabijali pojedyńczych ludzi, których zastali w lesie, a nareszcie mordowali całe familie. Sprzymierzeńcy ich na Block Island, wyspie w pobliżu Saybrook leżącej, wycięli w pień załogę pewnego okrętu i spalili tenże. To rozjątrzyło osadników, którzy zawarłszy przymierze z koloniami Massachusetts i Plymouth i z niektóremi plemionami nieprzyjaznemi Pequodum, napadli główniejszą wieś tychże nad rzeką Mystic (5 czerwca 1637) i wycięli w pień 600 Indyan. Z całej wsi ocalało tylko siedmiu Indyan. Ci donieśli o tem Sassakus'owi, naczelnikowi, który z wielkim oddziałem o kilkanaście mil dalej się znajdował. Nim ten mógł ochłonąć z przestrachu, napadli go osadnicy z dwóch stron i wycięli w pień. W jednym dniu zostało zniszczone plemię Pequodów tak, że nawet ani jedno dziecko, żadna niewiasta, żaden wojownik się nie pozostał. Inne plemiona przestraszyły się tem i przez 40 lat wstrzymały się od wszelkich napadów.

Pzybywało coraz więcej osadników. W r. 1638 założono miasto New Haven. W następnym roku zwołano konwencyę i wypracowano konstytucyę, a wszystkie osady nad rzeką Versche i Mystic nazwano kolonią Connecticut. Tymczasem powstały spory o granicę z kolonią nowoyorską (1643), co zniewoliło kolonię Connecticut do wstąpienia do kolonii nowo-angielskich.

Wyjąwszy mniejszych niepokojów, powodziło się dosyć dobrze nowej kolonii, która uznała zwierzchnictwo Karola II (1660), gdy ten wstąpił na tron angielski.

Podczas wojny króla Filipa, która wybuchła w r. 1675 ucierpiała kolonia Connecticut mało; kilka osad tylko zostało przez Indyan zniszczonych. Niektórzy gubernatorowie, zamianowani przez króla angielskiego, uciemiężali wprawdzie kolonistów, lecz to nie wstrzymało dobrobytu kolonii. W roku 1700 liczyła kolonia ta już 30,000 mieszkańców, a przy wybuchu wojny francuzko—indyańskiej 100,000. Historya kolonii Connecticut jest tak ściśle połączoną z dziejami kolonij sąsiednich, iż nie potrzebną jest rzeczą dalej tutaj się nad nią rozwodzić.

ROZDZIAŁ VII.

Rhode Island.

Pierwszym osadnikiem w Rhode Island był pastor nonconformistów, który nie zgadzał się ani z purytanami w Massachusetts, ani też ze zwolennikami kościoła anglikańskiego. Nad rzeką Pawtucket założył miasteczko, które nazwał Rehoboth. W r. 1636 przybył do tej okolicy liberalny pastor Roger Williams, wygnany przez purytanów z Salem. Nadto przybyło pięciu jego przyjaciół z Bostonu, którzy wspólnie z nim założyli miasto Providence. Wielu innych przyłączyło się wnet do nich, ponieważ w nowo założonych osadach panowała zupełna wolność religijna. — Canonixus, potężny naczelnik Narrangasetów był wielkim przyjacielem Williamsa, który wielki wpływ wywierał na całe plemię. Każdego, który był prześladowanym, przyjmował Williams gościnnie. Przybywało coraz więcej osadników. Nareszcie kupiono od naczelnika Miantonomoh wyspę Aquiday, którą przezwano „Isle of Rhodes". Tu założono miasteczko Portsmouth. W r. 1639 założono miasto Newport. Istniały tam wtenczas właściwie dwie kolonie: Rhode Island i Providence, lecz te zostały w r. 1644 połączone w jedną pod nazwą Rhode Island. W owym czasie powstał spór pomiędzy Rhode Island i Massachusetts o granicę. Spór ten trwał przez sto lat prawie, aż do r. 1741, kiedy komisya ustanowiła granicę taką, jaką jeszcze dzisiaj jest. Newport stał się wnet znacznem miastem handlowem. W nim to wydawał Jan Franklin pierwszą gazetę kolonii w r. 1732. Historya tej kolonii jest złączoną z dziejami innych kolonij nowo-angielskich tak ściśle, że jej tu bliżej opisywać nie będziemy.

(Dalszy ciąg nastąpi).